



Ryszard Konwerski
inicjator, założyciel, animator,
Prezes Polskiego Klubu Biznesu od 1989 roku

Praca, wytrwałość, konsekwencja w dążeniu do celu nie są jedynymi czynnikami decydującymi o powodzeniu. Do wszystkiego potrzebny jest tzw. łut szczęścia i to jest absolutna prawda. Mówię to na przykładzie 25 lat pracy w Polskim Klubie Biznesu. Przez prawie dwadzieścia pięć promujemy polską gospodarkę i polskich przedsiębiorców. Wielokrotnie słyszałem: jak to pięknie wyszło, jak świetnie się udało, wspaniale. Wszyscy tak mówili a nie wszyscy wiedzieli, że pod spodem tego sukcesu, leży mrówcza praca, precyzyjny plan, kupa nerwów, dziesiątki rozmów i organizacyjna dbałość o każdy szczegół.

Powiem tak. Kiedy kapitalizm rodził się w Polsce, w końcówce lat 80 i w początkach lat 90., był dzikim kapitalizmem, jak każdy stan po transformacji. My wszyscy dopiero się uczyliśmy, nie mieliśmy żadnych wzorów, doświadczeń, ani przykładów takich przemian gdzie indziej. Cały kapitał stanowiły wówczas intuicja, kreatywność, przedsiębiorczość. Mnie samemu może było łatwiej o tyle, że przez całe życie pracowałem na własny rachunek. Jak wielu innych widziałem, czego brakuje polskiej gospodarce. I wiedziałem czego brakuje młodym przedsiębiorcom. Wtedy jeszcze nikt ich tak nie nazywał, mówiło się o młodych biznesmenach. Biznesmen to było słowo – szyld, dawało prestiż, nobilitowało i... dostarczało niezliczonych powodów do kpin i żartów. Powstawało mnóstwo dowcipów z powodu szczególnej biznesowej elegancji: trzeba było mieć czarny garnitur i białe skarpetki, koniecznie. Ci, którzy teraz zaczynają, tzw. młodzi gniewni, którzy robią wielkie kariery w wielkich korporacjach, na pewno tego nie pamiętają, że symbolem biznesmena były wówczas te białe skarpetki i duża cegła telefonu komórkowego. Ważyła jakieś 2 i pół kilo, stawiało się ją w kawiarni na stoliku, na widocznym miejscu i każdy musiał zauważyć, że ma do czynienia z kimś, komu się powiodło. Społeczeństwo odbierało sygnał, że oto jest człowiek sukcesu, przebił się, osiągnął coś sam, a to w poprzednim systemie nie mieściło się w głowie.

Przez całe swoje zawodowe życie starałem pracować na własny rachunek. Jeszcze w latach 60. związałem się z Artosem. Historia. Artos był poprzednikiem Estrad, powołanych do organizowania działalności rozrywkowej w całym kraju. Prowadziłem koncerty, imprezy, konkursy, krótko mówięc

jąc byłem zależny od tego, czy sam zarobię, czy nie. Przez lata nie byłem ubezpieczony, ponieważ wówczas nie istniały żadne przepisy, dotyczące naszego środowiska. Dopiero potem uregulowano te sprawy wobec artystów, stąd też moja zawrotna 1400 złotych emerytura. Po reformach Balcerowicza zaczął się szczególnie trudny okres dla artystów, moich kolegów ogarnęło całkowite przerażenie. Już wcześniej, w stanie wojennym, artyści przeżyli dramat, także ekonomiczny, byli bezradni, nie wiedzieli jak się odnaleźć, zawsze państwo o nich dbało. W epoce przełomu rynek estradowy właściwie nie istniał. Prowadząc już wówczas działalność w UFO, dawałem zatrudnienie kolegom.

Występowali tu właściwie wszyscy – cała rodzina kabaretowa, radiowy „Podwieczorek przy mikrofonie”, największy artyści sceny i estrady. To był sposób na przeżycie. Ryzykowali skokiem w nieznaną, torowali ścieżki innym, stając się gwiazdami polskiego biznesu. Łatwiej poradzi sobie ze zrzuceniem grzecznego mundurka ekonomii politycznej socjalizmu, tak to się chyba nazywało. Potrafili odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Niemczycki, Goliszewski, potem Mann ze swoim radiem, kompozytor Wojtek Trzciniński – mężczyźni zdecydowanie rozrywkowi. Jeszcze Andrzej Olechowski, redaktor-impresario. W tym okresie szybciej niż inni mogli się odnaleźć także ludzie, którzy uprawiali sport. Sport dawał bardzo wielką szkołę samodzielności, podejmowania decyzji, odpowiedzialności. Socjalizm nie uczył odpowiedzialności, tłamsił wszelką samodzielność. Sport i działalność rozrywkowa dawały pełniejszą możliwość analizy, działania i w efekcie przeżycia, przewyciężenia czasów drastycznej reformy Balcerowicza. To był najtrudniejszy okres, najtrudniejszy pod względem adaptacji psychicznej. Twierdzę, że ustrój można było w ciągu kilku miesięcy zamienić z socjalistycznego na kapitalistyczny, gospodarkę zmienić ze sterowanej na wolnorynkową, ale najtrudniej – i to pokutuje do dnia dzisiejszego – najtrudniej jest zmienić mentalność. Na to trzeba pokoleń.

Obserwując procesy zmian we wszystkich, teraz wysoko rozwiniętych krajach, możemy, z perspektywy dwudziestolecia, uznać polskie tempo za ekspresowe. Żyjemy w fantastycznym czasie, w jednym pokoleniu mogliśmy doświadczyć wszystkiego. Nie mogę nie wspomnieć w tym

miejscu o dwóch największych postaciach, które przygotowały ten zryw społeczny. Profesor Zbigniew Brzeziński, dla mnie również guru, doradzając prezydentom Stanów Zjednoczonych zaproponował, żeby pożyczyć Gierkowi niewielką kwotę dwudziestu miliardów dolarów. Nastąpiło zmiękczenie ekonomiczne, możliwy stał się pamiętny przydział sześćdziesięciu dolarów na głowę na wyjazdy zagraniczne. Polacy zaczęli podróżować, zobaczyli, że może być inaczej i tylko od nas zależy, co z tą nową wiedzą zrobimy. Z drugiej strony poderwały naród duchowe zachęty Ojca Świętego. Pamiętne wezwanie podczas pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski: „Niech zstąpi duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi” zostało bezbłędnie odczytane przez każdego Polaka. Wszystko to spowodowało, że w nas wyzwolił się duch zmian, także duch przedsiębiorczości, wielkiego oddechu i nadziei, że każdy ma szansę.

Wówczas wszystko było pierwsze. Mamy pretensje do planu Balcerowicza, że nie tak sprywatyzowano PGR-y, że sprawę przemysłu alkoholowego można było rozwiązać inaczej, ale to jest wiedza z dziś, a nie z wtedy. Kto to mógł wiedzieć? Przyjeżdżało do Polski dziesiątki doradców, Sachsów i innych, umówmy się, że nie byli altruistami. Na pewno nie byli. Każdy chciał robić tutaj karierę. Wcześniej nie zdarzyło się, żeby ktoś robił profesurę na otwartym organizmie socjalistycznym. I dopiero wizja dwóch ludzi, wizja Balcerowicza i przyzwolenie Mazowieckiego spowodowały, że można to było osiągnąć. Słuszność potwierdza dzień dzisiejszy.

Kiedy wystąpiłem o zezwolenie na działalność klubową, nie było szans. To się nie mieściło się w urzędniczych głowach i w żadnych gastronomicznych normach. A jednak doczytałem się w ówczesnych przepisach, że mogę otworzyć bar rozrywkowy, no i dostałem zezwolenie na bar rozrywkowy kategorii pierwszej. Napisałem: cafe-klub UFO, bo ciągle zmierzałem do słowa klub. Tak się zaczęło. Otwarcie nastąpiło w marcu 81., i ja, człowiek rozrywki, chciałem mieć tu scenę kabaretową. Chciałem mieć Marcina Wolskiego, ale był już stan wojenny i jego Kabaret Sześćdziesiątka znalazł się pod szczególnym nadzorem. Oczywiście nie zezwolono. Z uporem maniaka występowałem do Wydziału Kultury Stołecznej Rady Narodowej i po pół roku pozwolono mi na program „Marcin Wolski i jego goście”. Tak się narodziła w UFO scena kabaretowa. I przychodzili ludzie, nie tylko z tzw. branży, ale właśnie ludzie raczkujący w biznesie, właściciele małych firm, drobni producenci – tak zaczęła się tu skupiać nowa klasa średnia, kto wie, może nawet tu zaczęła się tworzyć.

A kiedy przyszła ustawa o działalności gospodarczej Wilczka i Rakowskiego, wpadłem na pomysł, że możemy się przenieść w Klub Biznesu. To działa się prawie dwadzieścia pięć lat temu.

Ten czas nie był nawet początkiem, to była dopiero uvertura. Nie było wielkiego biznesu, nie istnieli Kulczykowie, Krauzowie. Istnieli mali, prowadzący niewielki rodzinny biznes. W ciągu kilku miesięcy zarobili bardzo duże pieniądze i miałem wrażenie, że z tych szybkich pieniędzy za chwilę nic nie zostanie, że je stracą, bo nie posiadają żadnego przygotowania. Widząc ich, utwierdzałem się w przekonaniu, że należy im pomóc. Że właściwym rozwiązaniem jest inwestowanie a nie afiszowanie się chwilowym dostatkiem, rozważa a nie zabawa. A najlepszą drogą jest biznes rodzinny. Praktyka błyskawicznie zweryfikowała szybkie fortuny. Ci, którzy zdobywali szybkie pieniądze i ryzykowali, przegrywali często z braku doświadczenia, umiejętności, roztropności, wykształcenia. Co innego firma rodzinna, która buduje swój biznes przez pokolenia – z pewnością poddana jest mniejszemu niebezpieczeństwu. Może nie tak szybko się bogaci, ale funkcjonuje pewnie i stabilnie.

Postanowiliśmy, że będziemy właśnie takie firmy szczególnie pieczołowicie chronić, pokazywać, pomagać im. I to po dziś dzień konsekwentnie czynimy.

Czytając trochę ekonomii, a jestem absolwentem SGH, dawnego SGPiS-u, wiem o tym, że nie wielki kapitał tworzy dochód narodowy. Ponadnarodowe koncerny pracują wyłącznie na swój rachunek, dla swojego zysku, natomiast dochód narodowy gospodarki tworzy mały i średni biznes. Solą społeczeństwa jest klasa średnia. Nie tylko biznes, ale inżynierowie, lekarze, kadra kierownicza, liderzy, których nigdy nie było, bo socjalizm takiej klasy nie wytwarzał.

Należało więc stymulować jej rozwój poprzez pokazywanie, ułatwianie, promowanie tych, którym już się powiodło. Postawiliśmy sobie takie zadanie, niektórzy mówili nawet, że to syzyfowa praca. Wtedy nikt nie chciał o tym myśleć, każdy chciał błyszczeć, pokazać się w rankingach, na listach, pochwalić bogactwem. Zachłyszeli się i oczekiwali poklasku. Byliśmy pierwsi i konsekwentni, mimo że nie mieliśmy żadnego doświadczenia w tej kwestii. Strategia działalności Polskiego Klubu Biznesu była i jest sukcesem. Potwierdziło ją życie, zweryfikowały kariery tych, którzy rozwinęli się spokojnie i mądrze. Szybko się okazało, że nie jesteśmy odosobnieni, że mamy wielkich sprzymierzeńców.

Przywołam dwa przykłady. Kiedy postanowiliśmy przyznać nagrodę Oskara Polskiego Biznesu trzeciemu, poza profesorem Brzezińskim i papieżem Janem Pawłem II, trzeciemu wielkiemu Polakowi, który walczył o naszą transformację, redaktorowi Jerzemu Giedroyciowi, wszyscy mówili, że jest to niemożliwe. Wiadomo było, że ten wybitny intelektualista odmówił przyjęcia wszystkich największych światowych odznaczeń, w tym Legii Honorowej czy Orderu Orła Białego. Nigdy od nikogo nie przyjął żadnego odznaczenia. – Ale to nie znaczy, że od nas nie przyjmie – taki był mój komentarz,

musimy spróbować. I zaczęliśmy drążyć. Za pośrednictwem polskiego sekretariatu paryskiej „Kultury” napisaliśmy, przedstawiliśmy się, zaprezentowaliśmy się, poinformowaliśmy czym jest Polski Klub Biznesu, kogo reprezentujemy i że jest taka prośba. Odpowiedź przyszła na piśmie, jej sens był taki: ponieważ panowie reprezentujecie mały i średni biznes rodzinny, czyli tych, którzy tworzą tak potrzebną w Polsce klasę średnią, przyjmę to wyróżnienie. Poprzez Państwa działanie wpływacie nie tylko na rozwój polskiej gospodarki, ale na rozwój kultury, nauki, rozwój intelektualny społeczeństwa, ponieważ klasa średnia jest jego siłą napędową. Wielka satysfakcja, że TAK nas oceniono. Słuszność naszego myślenia potwierdził także Ojciec Święty. W roku milenijnym 2000 zamarzyło się nam przekazanie Oskara Polskiego Biznesu Papieżowi Polakowi. Ruszyła wielka fala przygotowań, rozmów z Watykanem – powiodło się. Jan Paweł II przyjął naszą sześćoosobową delegację, podkreślając, że odbiera nagrodę klubu reprezentującego człowieka, pracę i rodzinę. Nie muszę dodawać, jak nieprawdopodobnym przeżyciem dla każdego z nas było to spotkanie. Papież położył rękę na statuetce Oskara i powiedział: jesteście mi szczególnie bliscy, ponieważ reprezentujecie polskich rzemieślników, polskie firmy rodzinne, pieczołowicie kontynuujecie ten kierunek.

Bez wątplenia przez pierwsze 3 lata dominował handel. Handel był naturalnym motorem przemian.

W Polsce brakowało wszystkiego. No i Polska w tym czasie zachłusnęła się Zachodem, wszystkim, co zagraniczne. Nie byliśmy bogatym społeczeństwem. Każdy chciał mieć i to, i to, ale nie miał pieniędzy. Siłą rzeczy z zagranicy musiał przyjść najtańszy, najstabszy towar, ale we wspaniałych opakowaniach. Za granicą normalnych, ale u nas wspaniałych, bo kolorowych, kartonowych. Kto pamięta, że u nas w socjalizmie wędlinę zawijało się w gazety ... Wszyscy handlowali, chociaż właściwie nie istniały miejsca do handlu – więc brali kawałek metalu, budkę zamykaną na noc i handlowali. Mówię o popularnych szczękach. Cała Warszawa została zastawiona szczękami, całe Aleje Jerozolimskie, Marszałkowska pod Domami Centrum – tu pojawiały się artykuły z pół-przemytu, z pół-importu prywatnego. Na stadionie X-lecia urodził się największy plac handlowy Europy. Ludzie tam handlujący zaczęli zarabiać niesamowite pieniądze. To nie wyglądało tak jak teraz, że dobra stopa zwrotu wynosi jakieś 5 –7 procent. Wtedy zarabiali 200, 300 procent. Widząc to wszystko doszliśmy do wniosku, że daleko nie pojedziemy, że na dłuższą metę nie można opierać całej przedsiębiorczości na handlu. Zyskaliśmy pewność, że musimy promować polskie produkty, stworzyć system pokazywania, informowania, zachęcania, po prostu promocji

polских, dobrych produktów. I teraz – kto miał wizję, kto miał trochę instynktu i trochę wiedzy, nie przepuszczał tych szybko zarobionych pieniędzy, nie przeznaczal na dobra doczesne, które kusiły – ładne samochody, mieszkania, biura itp. Tylko, przy mądrym i perspektywicznym zarządzaniu, przekształcał szczęki w sklep, a sklep w sieć sklepów. Przywołam przykład Marka Mikuśkiewicza, który zaczynał prawie od szczęk, a dziś ma imponującą sieć handlową. Osiągnął to ciężką pracą, mimo że nie miał zaplecza uniwersyteckiego, znajomości ekonomii ale miał rozum, zmysł, trochę szczęścia i potrafił powstrzymać się od debiutanckiej konsumpcji. Mówię o nim, bo był naszym pierwszym laureatem, pierwszym Biznesmenem Roku. Właśnie takich ludzi chcieliśmy i chcemy z dumą pokazywać. Handel z jednej strony, a równolegle, już w socjalizmie, funkcjonowały firmy, które opierały swój biznes na produkcji. Cała branża plastikowa, wtryskarki, dywaniki gumowe do samochodu itp. Wstępowali do naszego klubu, dostrzegli nowe szanse. Pracowali w warsztatach rzemieślniczych, często z tradycjami ojców, dziadków, szukali niszy na tym chaotycznym rynku i byli elastyczni. Potrafili się szybko przestawić. Skończył się popyt na dywaniki do samochodów, robili breloczki reklamowe, i tak ze wszystkim. Inny przykład – na rynku brak glazury i terrakoty, tylko nieliczni mogli kupować za dolary w Peweksie albo dostać przydział, a już ruszyło budownictwo. No to rzemieślnicy wymyślili, że trzeba produkować glazurę i terrakotę. W naszym klubie jest po dziś dzień inżynier, który pracował w państwowej fabryce w Opocznie, i szybko doszedł do wniosku, że może zacząć własną produkcję w... szklarni. Wykształcony, postawił na jakość i dziś jest jednym z największych w Europie. Firma Paula, również spoza Warszawy, olbrzymia fabryka, zatrudnia 1500 osób. Młody inżynier wymyślił technologię odsysania wody z owoców i warzyw, nieosiągalną nawet dla Ameryki, teraz sprzedaje półprodukty koncernom spożywczym na całym świecie.

Powstawały wielkie fortuny, może pływano na granicy prawa. Jeden tir spirytusu royal kosztował wówczas w Niemczech około 10 tys. dolarów. Co tydzień można było taki tir sprowadzać pod warunkiem, że się miało zaprzyjaźnioną firmę polonijną. Wtedy nie obowiązywały żadne obciążenia, żadne cła, podatki – czysty zysk. Zbyt był natychmiastowy, zysk minimum stuprocentowy. W tym gigantycznym zalewie alkoholowym nie było wtedy niczego nielegalnego. Podejrzewam, że decydentom zależało na stworzeniu luki prawnej, żeby dać pewnym ludziom możliwość zrobienia szybkich pieniędzy. Mimo że Polska zawsze słynęła z dobrych alkoholi, nie zdołano ochronić rynku. Przez półtora roku z zachodu płynęła rzeka taniego spirytusu, polska gospodarka straciła sporo na tym procederze. Wszystko

w imię rozwoju firm polonijnych, wciągnięcia Polonii i cudzoziemców w tryby naszej gospodarki. Do dzisiejszego dnia mówi się o tym i drąży, komu zależało na takim obrocie sprawy. Drugi interesujący zabieg w tamtym czasie, możliwy również na skutek luk prawnych, to przewalutowanie rubla. Wszystkie transakcje, interesy z Rosją w socjalizmie prowadzone były w rublach. Polacy oferowali wiele produktów, m.in. sprzęt medyczny, za ruble transferowe wymieniane po kursie. I raptem, kiedy zerwały się stosunki handlowe i przeszliśmy na przeliczenia dolarowe, rubel zaczął być przeliczany po kursie 89 centów. Nagle ci, którzy mieli 2 miliony rubli, mieli 2 miliony dolarów na koncie. Zanim się zorientowano, powstało kilka wielkich fortun.

Polacy byli w Europie postsocjalistycznej narodem najbardziej kreatywnym i najbardziej przedsiębiorczym. Potrafili dostrzec potrzeby rynku, szanse dobrego zarobku.

Prywatyzacja postępowała w bardzo wolnym tempie, sprzedawano szczególnie duże organizmy, banki itd. Natomiast małe przedsiębiorstwa państwowe, potrzebne do produkcji, tkwiły w socjalistycznych strukturach. Młodzi ludzie biznesu byli szybcy. Jeździli do Indii, do Singapuru i w plecakach przywozili podzespoły, części do komputerów-składaków. Tak się rodziły wielkie firmy informatyczne, m.in. NTT System, a także firma Profusa. Tak zaczynał Bagsik, tak powstał Procom, tak Kluska budował potęgę Optimusa. Ekspansywni, przedsiębiorczy ludzie tworzyli nowe gałęzie gospodarki.

Kiedy Balcerowicz ogłosił swoje odważne reformy i zawałiła się cała ekonomia budowana przez socjalizm, nastąpiło przerażenie. Mówię o pierwszych odczuciach naszego środowiska. Przedsiębiorcy mówili: nie damy sobie rady, znajdziemy się na bruku, zbankrutujemy, jak ludzie przeżyją, jak będą mogli płacić te ceny. Wszyscy byli przerażeni, ale jednocześnie prezentowali stoicki spokój. Spójrzmy obiektywnie: wcześniej przy byle jakiej podwyżce wybuchały protesty. Teraz usłyszeliśmy, że przez 3 lata trzeba będzie zaciskać pasa, a przecież trwało to o wiele dłużej, i był spokój. W mojej obserwacji ta szokowa terapia przeszła nadzwyczaj aksamitnie. Wtedy wszyscy w naszym klubie byli przerażeni, ale każdy mówił: wytrzymajmy, jeszcze chwilę. A potem to się zaczęło sprawdzać, już nie patrzono na rozmiar inflacji, tylko na efekty. Jeżeli ktoś chciał pracować, to zarabiał.

W pejzażu tamtych czasów, który staramy się odtworzyć, istotna była działalność firm polonijnych. Wprawdzie prosperowały na innych terytoriach niż członkowie Polskiego Klubu Biznesu, ale jak wicher przemknęły przez Polskę kielkującego kapitalizmu. To nie były nasze małe firmy rodzinne, tam przyszły pieniądze z zagranicy i wsparcie większych organizacji. Z firm polonijnych wzięta się potęga Kulczyka, Staraka. Mapa biznesowych przedsięwzięć stale

się zmieniała, jedni startowali, inni plajtowali, szybkie pieniądze nie zawsze zgadzały się z etycznym postępowaniem. Dziś na każdej uczelni ekonomicznej wykładają zasady etyki biznesu, wtedy każdy mógł, jeśli się decydował, ustanawiać swoje zasady. Bardzo dbaliśmy w Polskim Klubie Biznesu, ażeby unikać niezwerifikowanego sukcesu. Były takie firmy, które w danym roku osiągały wielki zysk i wielką sławę medialną, rozgłos, pozycję. Naturalnie startowały do naszej nagrody Businessmana Roku. Nie podtrzymywaliśmy wielu z tych kandydatur. Obserwując dynamiczny rozwój gospodarki rynkowej mieliśmy dobrą orientację i doszliśmy do wniosku, że przyznając nagrody powinniśmy honorować perspektywę, nie tylko dzień dzisiejszy. Zakładaliśmy, że laureaci będą przez lata znaczącą pozycją na rynku i w promowaniu biznesu. Ustanowiliśmy jasne kryteria i procedury, sposoby weryfikacji, zdobywania informacji. Żeby nie było tak, że gwiazda jednego sezonu zniknie w następnym roku, albo będzie uczestniczył w jakichś nieczystych interesach, czy grach mafijnych. Bo wtedy mafia to też był prawie biznes.

Nagrody Polskiego Klubu Biznesu, przyznawane w różnych kategoriach, od razu stały się znakiem prestiżu, solidności i sukcesu.

Mieliśmy świadomość, że jesteśmy pierwsi – takich nagród, motywujących do działania, wcześniej nie było. Owszem, istniały nagrody państwowe, wyróżnienia za zasługi dla socjalizmu, dla obronności, województwa, ale nie za inicjatywę, za indywidualny sukces – skądże. W naszym gronie reguły gry były jasne, zdecydowaliśmy od razu, że to przedsiębiorcy dają nagrody przedsiębiorcom ponieważ znają się na rzeczy, a więc mogą i mają prawo oceniać innych. Jednocześnie nie są zawistni. Idzie przecież o obiektywne uznanie środowiska, wiarygodne i bezdyskusyjne. Nagroda – to też stało się zasadą, nie mogła skończyć się w dniu uroczystości. Laureat otrzymywał szansę promocji, był pokazywany przez cały rok, żeby ta satysfakcja procentowała w jego działalności. Powstawał katalog nagród, tworzył się mechanizm, z którego wynikało, że laureat z tego roku staje w szranki w następnym – tak rodziła się historia. Splendor dla nagradzanych i ogromna odpowiedzialność dla klubu. Ten poczet laureatów nie mógł budzić wątpliwości – nagrody promowały wzorce dla biznesu. Taka przejrzystość spowodowała zapewne, że na długich dziesięć lat zostaliśmy obdarzeni zaufaniem prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Aleksander Kwaśniewski regularnie wręczał listy gratulacyjne laureatom nagród Polskiego Klubu Biznesu. Nie trzeba tłumaczyć, że urząd prezydenta także musiał weryfikować kandydatów, to naturalne. Mam ogromną satysfakcję, że w tych wszystkich procedurach okazaliśmy się wiarygodni. A czas był bardzo burzliwy, sprzyjający jednocześnie budo-

waniu i przestępczości. Z drobnych rzezimieszków socjalizmu utworzyło się całe konsorcjum bandytyzmu, przede wszystkim gospodarczego. Gdzie może być mafia? – Tam gdzie jest prostytutka, alkohol i hazard. Zaczęło się od przemowienia całych tirów ze spirytusem, potem sprzedawanie, mafia się bawiła, miała swoje restauracje. Szybko zaczęła wnikać w poważne sfery życia gospodarczego i prac pieniądze. Natomiast najgorsze, a odczuwaliśmy to na własnej skórze, że mafia weszła w struktury władzy, szczególnie w struktury policyjne. Policja też chciała szybkiego dobrobytu i znalazła się na garnuszku mafii. Podobnie wielu urzędników, bo mafia przenikała do struktur urzędów. Mogę jednak powiedzieć, że nasi członkowie jakoś szczególnie nie odczuwali działalności mafii w swoich interesach. Ich pieniądze okazały się za małe...

Socjalistyczna rzeczywistość nie tolerowała pochwały sukcesu, za to jawnie opiekowała się miernotą, przeciętnością i zawiścią.

Od samego początku działalności Polski Klub Biznesu chciał przełamać tę perspektywę i naczelną polską wadę: zawiść. Niestety funkcjonuje ona do dnia dzisiejszego, tak samo jak niechęć do szczylenia się sukcesem. Od człowieka, który odniósł sukces w Peerelu, oczekiwano raczej zażenowania czy wstydu. Ten, kto wybijał się ponad przeciętność, musiał być cicho – albo od razu dopadał go Urząd Skarbowy, albo ktoś inny sprowadzał do parteru. Wmówiono społeczeństwu, że najwyższą cnotą jest przeciętność, a sukces to podejrzany interes.

Jeżeli ktokolwiek odniósł sukces w gospodarce, w nauce czy w kulturze, to na pewno nie dokonał tego uczciwie, no, musiał coś ukraść, oszukać – straszna sprawa. W gronie ludzi, którzy tworzyli nasz klub, powiedzieliśmy sobie, że musimy przełamać tę mentalność i za wszelką cenę pokazywać sukces w dobrym tego słowa znaczeniu. Co mnie ugruntowało w tym przekonaniu i zainspirowało? W 1994 roku dostaliśmy zaproszenie na wyjazd studyjny do Włoch. Były to czasy słynnego cudu włoskiego, nieprawdopodobnego rozwoju gospodarczego Italii, a ten rozwój dokonywał się poprzez lawinowe tworzenie się małego i średniego biznesu. Każdego roku powstawało milion nowych rodzinnych firm, z tego 800 tysięcy upadało, ale – jak łatwo obliczyć – 200 tysięcy zostawało na rynku. Powstawały, upadały, trwały, wytwarzały się ruch, pomnażał dochód narodowy, powstawały nowe miejsca pracy. Pojechaliśmy zobaczyć jak to funkcjonuje, jak Włosi wyzwalają przedsiębiorczość. Powiedzmy hotele. Ktoś miał pieniądze i zbudował sieć hoteli. W takim obiekcie oddawał jedno piętro jednej rodzinie w zarządzanie, w leasing. Pracowała, spłacała to piętro, pracowała na następne – tak stwarzano możliwości. Nie masz

pieniędzy, ale masz chęć ciężkiej pracy, to weź sobie bar w hotelu, prowadź, zarobisz, spłacisz, a ten, który wybudował hotele za twoje pieniądze będzie budował następne i następne. Mechanizm. Precyzyjny mechanizm, zabezpieczający relacje gospodarcze i finansowe udziałowców. Ten system zadziałał, także w sensie psychologicznym – włoski rząd powołał wtedy Akademię Sukcesu, promującą i honorującą tych, którym się udało bardziej niż innym. Skopiowaliśmy ten pomysł. Widzieliśmy na własne oczy, że posiadanie takiego wyróżnienia to powód do dumy dla laureata. Gdziekolwiek znalazła się nasza delegacja, powiedzmy w restauracji, właściciel prowadził nas nie do stołu a do ściany i pokazywał dyplom Włoskiej Akademii Sukcesu. To oznaczało, że on jest wiarygodny, chwali się tym sukcesem, że u niego dobrze zjemy. Oczywiście nobilitacja i każdy się starał, żeby zasłużyć na dyplom. Kiedy przyjechałem z tej wyprawy, wystąpiłem z bliźniaczą propozycją dla naszego kraju. Proszę sobie wyobrazić, że projekt musiał czekać pięć lat na realizację. Z reguły spotykałem się z uśmiechem niedowierzania, albo wręcz z kpina, poklepywaniem po ramieniu, że po co nam to itp. Dopiero kiedy zwróciłem się do Marszałka Sejmu Marka Borowskiego, on docenił, jaki potencjał kryje się w takim wyróżnieniu. Kolejni marszałkowie sejmu kontynuowali patronat parlamentarny, co trwało aż do czasu dominacji PiS – ci zajmowali się raczej własnymi osiągnięciami.

Przez dziesięciolecia w naszym kraju utarło się, że wspinałe sukcesy Polaków w sporcie, medycynie, w nauce przechodziły gdzieś bokiem, niezauważone, zupełnie nienagłośnione. Niemal nikogo nie interesowało, że prof. Wolszczan jest jednym z największych astronomów świata i odkrył nieznaną ludziom planetę, że prof. Religa dokonuje prekursorskich operacji i pracuje nad sztucznym sercem, że Hanuszkiewicz zreformował teatr niemiecki itd. itp. Doszliśmy do wniosku, że trzeba zaprosić do współpracy czterdziestu wybitnych Polaków, których zdanie się liczy, i w ten sposób wyłonić Kapitułę Medalu Akademii Polskiego Sukcesu. Po dziś dzień przewodniczy jej światowej sławy otolaryngolog, profesor Henryk Skarżyński, autor nowatorskiej metody przywracania słuchu, człowiek światowej elity nauki. Zgodnie z ideą, zajęliśmy się prezentacją różnych twarzy sukcesu – w gospodarce, w kulturze, w nauce, w wielu dziedzinach i dyscyplinach, gdzie manifestuje się mądrość, nadzieja, optymizm, skuteczność i wielkość Polaków.

Honory i laury Polskiego Klubu Biznesu musiały rozmnażać się przez pączkowanie. To tylko świadczy o ekspansywności przedsiębiorców, biznesu, nowej tkanki w gospodarce narodowej. Obok Oskara Polskiego Biznesu, tytułów Businessmana, Businesswoman, Firmy Roku pojawił się Produkt Roku, Debiut w Biznesie, Społeczne Oblicze Biznesu, Junior Biznesu.

U honorowania wymagała też działalność na rzecz słabszych, potrzebujących wsparcia. Już od narodzin klubu propagowaliśmy ideę niesienia pomocy – ci, którzy zarobili pieniądze w biznesie powinni pomagać tym, którzy przez transformację przechodzą ciężko. I tak się stało. Poważne firmy zaczęły potężnie inwestować w pomoc słabszym, wykorzystując tę informację jako wizytówkę wiarygodności firmy, rekomendację prospołecznych działań, jakie się, już wtedy, silnie zarysowały. Polski Klub Biznesu inspirował i doceniał ten trend, ustanowiliśmy nagrodę Społeczne Oblicze Biznesu i – co ciekawe – jest ona eksponowana we wszystkich materiałach promocyjnych i informacyjnych firm świadczących taką pomoc. To pobudza wszystkich, nie tylko tych wielkich, do dzielenia się.

W szczególny sposób otoczyliśmy opieką służbę zdrowia. W wirze przemian znalazła się ona w najtrudniejszej sytuacji – nowe systemy, stare nawyki, brak pieniędzy, brak rozsądku, chaos. W naszej opinii najpilniej potrzebowały wsparcia szpitale dziecięce. Lata 1991-92 to lata grozy. Słynny szpital na Litewskiej wywiesił czarną flagę, bo nie było złamanej złotówki, żeby placówka mogła funkcjonować, szpital przygotowywano do zamknięcia. Wówczas dyrekcja zwróciła się do nas z prośbą o pomoc. Pomogliśmy. Profesor Zygmunt Kaliciński, wielka, charyzmatyczna postać polskiej medycyny, światowy autorytet, w apelu do nas operował bardzo szczególnym argumentem. W socjalizmie – mówił, przyjęto się wspieranie medycyny prominentów – jeżeli zachorował na serce premier Jaroszewicz, to wybudowano Instytut Kardiologii, jeżeli zachorował jakiś decydent, to natychmiast znajdowały się pieniądze dla takiej placówki. Natomiast tak się składa, że dzieci mają ludzkie na dorobku, po prostu normalni, bez pozycji gwarantującej protekcję. Wniosek: pomagać należy przede wszystkim medycynie dziecięcej. Zwracając się do naszych członków powtarzałem ten argument, i każdy mówił: to słuszne, proste, logiczne. W ten sposób narodziła się, prowadzona przez nas przez trzy lata, wielka akcja charytatywna ratowania służby zdrowia medycyny dziecięcej. Szpital na Litewskiej odwiesił czarną flagę. Co ciekawe, kiedy już sprawdził się mechanizm, szpital na Litewskiej zorientował się, że można poruszyć sumienia i nawiązano kontakt z Jurkiem Owsikiem. On, w pewnym sensie, przejął po nas pałeczkę i tak powstała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Służba zdrowia była najslabszym i ciągle jest najslabszym terytorium społecznym. To nieprawda, że Polacy nie przejawiają inicjatywy, że nie potrafimy się zorganizować. Myślę, że problem tkwi gdzie indziej – w przyzwyczajeniach, w mentalności socjalistycznej. Służba zdrowia nie potrafiła zaryzykować, przejąć odpowiedzialności za płacę uzależnioną od pracy, za konieczne zmiany strukturalne, likwidujące małą stabilizację

zawodową. Jeśli do tego dodamy zbiurokratyzowaną, szalejącą administrację – perspektywa zmian to daleki ład. I dlatego właśnie w Polskim Klubie Biznesu postanowiliśmy, że należy wspierać szalonych prekursorów przemian.

Na przełomie 1991/92 roku, kiedy jeszcze nikt nie myślał o prywatnej służbie zdrowia, poznaliśmy młodego lekarza, wielkiego entuzjastę, wtedy jeszcze docenta, wspaniałego fachowca, który uczył się za granicą, szczególnie we Francji, poznawał najnowsze metody leczenia wad słuchu i już wówczas znany był w całej Europie. Przeprowadził pierwszą transplantację, wszczepił pierwszy implant i przywrócił pacjenta ze świata ciszy do świata dźwięków. Profesor Henryk Skarżyński. Przyszedł do nas i powiedział, że Polska ma możliwość przywracać słuch dzieciom, tylko trzeba stworzyć po temu warunki. Że on sam ma na ten cel teren, 15 hektarów ziemi w Kajetanach, i przedstawił rozrysowany przez architektów w społecznym czynie projekt Europejskiego Centrum Leczenia Wad Słuchu i Mowy. Wspaniały nowoczesny ośrodek, który on zrealizuje. Naturalnie przyklasaliśmy, ale wówczas uważaliśmy że to utopia, technicznie i finansowo nie do zrealizowania. Jak wiadomo, wiara przenosi góry i profesor Skarżyński dopiął swego. Kiedy po paru latach byliśmy obecni przy wkopywaniu kamienia węgielnego, uwierzyliśmy, że projekt powstanie. To jest rewelacyjny przykład, jak niezliczone pokłady energii drzemią w każdym sektorze polskiej gospodarki. Wystarczy troszeczkę pomóc. I nie przeszkadzać. Zafascynowani osiągnięciami profesora, wpieraliśmy go, ciułałiśmy wraz z nim, pomagaliśmy sprzedać ten sukces. Wspominałem już, że dziś, po dwudziestu latach, profesor Henryk Skarżyński jest przewodniczącym Akademii Polskiego Sukcesu. Proszę spojrzeć: pod względem biznesowym całkowita autonomia, od państwa nie została wzięta ani jedna złotówka, pod względem organizacyjnym luksus, każdy może być tam przyjęty, otrzyma pomoc, w Kajetanach się nie czeka. Renoma centrum przekroczyła dawno granice Europy, sam Skarżyński został światowym konsultantem ds. zapobiegania i leczenia wad słuchu, zdobył pieniądze na potężną rozbudowę.

Powtarzam bezustannie, że nasza gospodarka nie zależy od tego, jak i ile wielkich prywatyzacji przeprowadzą kolejne rządy, czy sprzedadzą rafinerie, stocznie czy kopalnie. Wymerne efekty przynosi praca u podstaw, z której jesteśmy dumni, i która dała Polsce nową jakość, wielkie inwestycje, inicjatywy i pieniądze.

Z żalem muszę przyznać, że nasze społeczeństwo nie jest gotowe do takiego spojrzenia na biznes, tym bardziej politycy. W Polskim Klubie Biznesu od samego początku nie przykładaliśmy wagi do tego, żeby zyskać uznanie polityków. Chociaż, nie ukrywam, w każdym cywilizowanym kraju

uznanie polityków dla rzetelnych osiągnięć biznesu po prostu się liczy, stanowi dowód szacunku i poparcia. U nas jest na to za wcześnie, wszyscy wszędzie wietrzą układy, przekręty, interesy poza prawem. Toteż jesteśmy jak najdalej od polityki, już wiele lat temu zarząd podjął uchwałę, że nie angażuje się w żadne polityczne kampanie, ani w finansowanie ani w popieranie kogokolwiek. Co innego nasi członkowie, mogą robić co chcą, to ich prywatna sprawa. Jako klub nigdy się nie angażujemy w politykę. To nie znaczy, że zamykamy drzwi przed ludźmi polityki. Ich obecność z reguły wiąże się z naszymi uroczystościami, godnościami nadawanymi przez klub. Jeżeli nagradzaliśmy Oskarem Polskiego Biznesu Javierą Solanę, sekretarza generalnego NATO, to trudno żeby nie pojawił prezydent naszego kraju, czy prominentni politycy, którzy traktują takie okazje jako szansę dla własnej promocji, wtedy mogą się pokazać. Natomiast, z przykrością to mówię, kiedy nagradza się niezwykle wartościowych ludzi za wybitne osiągnięcia gospodarcze, za sukces w biznesie, polityków raczej to nie interesuje. Nie dostrzegają tego, co jest oczywiste w krajach europejskich, że uznanie – także ze strony polityków – ma niebagatelne znaczenie dla człowieka, który taki sukces odniósł. Dla środowiska, dla społeczeństwa istotne jest pokazanie wartości osiągniętego sukcesu.

W naszym doświadczeniu, nie ma zbyt wielu przykładów doceniania przez polityków sektora gospodarki, ale z całą przyjemnością chcę podziękować w tym miejscu panu prezydentowi Lechowi Wałęsie, który w pierwszym okresie swoich prezydenckich rządów bardzo wspomagał nasze inicjatywy. Wykazywał żywe zainteresowanie, obserwował, uczestniczył w kongresie przedsiębiorców na Politechnice Warszawskiej, podczas którego wskazywaliśmy trudności i przeszkody piętrzące się przed biznesem rodzinnym, przed tworzącym się ruchem samorządowym przedsiębiorców. Raz jedyny zdarzyło się, że prezydent Rzeczypospolitej przez osiem godzin był obecny na kongresie. Zmieniali się prowadzący, prelegenci, a prezydent trwał nieporuszony, uważnie słuchał, chciał wiedzieć. Pozytywny sygnał odebraliśmy też, kiedy prezydent Wałęsa tworzył partię BBWR – oświadczył wtedy, że trzeba taką partię oprzeć na czterech nogach. Niestety, politycy tak pokierowali sprawą, że stół chwia się na trzech nogach, noga przedsiębiorców się złamała. Także prezydent Aleksander Kwaśniewski mocno doceniał dynamiczną rodzinną przedsiębiorczość. Wielu miało do niego o to duże pretensje, niektórzy mają do dziś. Prawda jest taka, że pan prezydent Kwaśniewski zrobił bardzo wiele dla rozwoju i propagowania przedsiębiorczości Polaków. Jako przykład niech posłuży uznanie dla laureatów nagród Polskiego Klubu Biznesu. Prezydent zawsze uczestniczył w uroczystościach wręczania nagród, do każdego z wyróżnionych kierował list gratulacyjny, co niebywale podnosiło rangę sa-

mych nagród, nobilitowało i wyróżniało, wskazywało liderów. Przyjęliśmy taką procedurę, że Kancelaria Prezydenta otrzymywała wcześniej listę laureatów, a zatem miała szansę, zweryfikować nasze propozycje. Przy pomocy odpowiednich służb sprawdzała, czy firmy są rzetelne, wiarygodne, niezamieszane w wątki kryminalne. Powiem jedno: nie zdarzyło się, aby jakakolwiek kandydatura wzbudziła niepokoje. Po dwóch czy trzech edycjach Oskara Polskiego Biznesu doradcy, i sam prezydent, doszli do wniosku, że trzeba wykorzystać motywacyjną rolę nagród, ich siłę sprawczą dla pobudzania gospodarki i ustanowiono Nagrodę Gospodarczą Prezydenta. Przyznawano ją przez wiele lat, miała bardzo poważną rangę, stała się ukoronowaniem wszystkich nagród.

W pierwszym okresie, kiedy kształtowały się zasady transformacji i wszyscy byli zajęci robieniem nowych karier, błyszczały media, znajomości, bankiety, pieniądze – politycy z tego korzystali. Oczywiście wówczas nie istniały żadne regulacje finansowania polityki, przedsiębiorcy podejmowali decyzje na własny rachunek, także w dosłownym znaczeniu tego słowa. Z biegiem lat ta sytuacja zaczęła się normalizować, sejm przyjął ustawę o finansowaniu partii politycznych, wzajemne stosunki radykalnie się zmieniły. Ale, szczególnie w czasach rządów SLD, kontakty oligarchów i polityki nabrały rozmachu. Wielcy zawsze działają na styku państwo – gospodarka, bo od tego uzależnione są przekształcenia gospodarcze, prywatyzacja, przejmowanie przedsiębiorstw itd. Zmieniło się, kiedy media zaczęły podejmować tematy bliższych związków pieniądza i władzy, ostrze krytyki obróciło się przeciw przedsiębiorcom.

Polacy mają to do siebie, że postrzegają zdarzenia, ludzi, fakty albo z fascynacją albo z wrogością, w ocenach popadają w skrajności, jak to się mówi: przeginają w jedną albo w drugą stronę. Przeszła istnieć normalna optyka doceniania uczciwych przedsiębiorców, ciężko pomnażających dochód narodowy, pracujących na rzecz społeczeństwa i pożytku kraju.

Wytworzył się i trwa do chwili obecnej odruch, że politycy jak ognia boją się przedsiębiorców. Wydają wewnętrzne zarządzenia partyjne, że nie wolno kontaktować się, bywać, spotykać. Afery korupcyjne zrobiły swoje. Ludzie, który pracują na własny rachunek, poczuli się zagrożeni, wtłoczeni do jednego worka z nieuczciwymi biznesmenami. Mają takie poczucie, że znaleźli się w zaklętym kręgu podejrzeń, stracili w opinii społecznej. Gubią zapał, boją się pokazać swój sukces, bo – jak w socjalizmie – nie wiedzą, czy politycy albo urzędnicy nie przeczołgają ich, nie zatrują im życia. I to jest poważna przeszkoda w dalszym rozwoju przedsiębiorczości. Analizujemy ten stan rzeczy, w naszym odczuciu sytuacja jest nienormalna. Staramy się ją zmieniać, namawiać sze-

roka pinię społeczną do zmiany optyki, do zauważania nieklamanych pozytywów, wzorów – to domena wspomnianej już Akademii Sukcesu. Wrogość polityki do biznesu zaznaczyła się szczególnie w czasie dwuletnich rządów PiS. Kiedy na Zamku Królewskim odznaczaliśmy prezydenta Węgier, naturalnie zaprosiliśmy prezydenta Warszawy, pana Lecha Kaczyńskiego. Nie pojawił się, ponieważ nie spełniliśmy życzenia jego urzędników, aby „zlustrować” gości, przedstawić c.v. wszystkich zaproszonych. Jak widać, znajdowaliśmy się w najbardziej absurdalnych sytuacjach. Do dziś u wielu polityków pokutuje przekonanie, że lepiej się nie wychylać w okolicach biznesu. Nie pojawiają się nawet na uroczystościach, promujących polską gospodarkę, żeby nie być podejrzanymi o jakieś niebezpieczne związki. Prawda jest taka, że oni sami muszą się uporać z tym problemem. Ze swoim środowiskiem, z polityką korupcji, przestępstw i łamania prawa. Nie my, oni. Ponieważ mają obowiązek wspierania swoją pozycją społeczną tych, którzy dla kraju uczciwie pracują. Naturalnie znamy polityków, którzy robią to, co do nich należy z racji funkcji w organach władzy, utrzymują kontakty z organizacjami, stowarzyszeniami przedsiębiorczości, są blisko i wiedzą, co się dzieje. Czujemy się zaszczyceni, że przyjmują zaproszenia na nasze uroczystości, przychodzą, nie mają nic do ukrycia, wszystko odbywa się przy otwartej kurtynie. Mamy nadzieję, że to stanie się normą. Że kontakty na linii polityk – przedsiębiorca czy poseł – przedsiębiorca będą dokonywały się jawnie, w sposób naturalny, bez tej bezwzględnie obowiązującej dziś podejrzliwości.

– Misje zagraniczne to poważny rozdział naszej pracy. Otwieraliśmy przed Polską nowe rynki, nowe kierunki. Australia, ale też nowa Rosja, Chiny – lista jest długa i otwarta. – Od początku naszego istnienia uważaliśmy, że należy szukać sojuszników za granicą. Nie czekać na decyzje polityków, umowy, kontakty rządowe, tylko samemu otwierać możliwości współpracy z przedsiębiorcami na świecie. Żyjemy w kraju położonym w środku Europy, pierwszym, który porwał się na zmianę ustroju, zreformował ekonomię i przetestował to na własnym, żywym organizmie.

Byliśmy pionierami transformacji, a zatem mieliśmy uprawnienia, żeby zostać łącznikami, liderami w budowaniu mostów pomiędzy Wschodem i Zachodem. Mamy dobre kontakty z Rosją, Białorusią, Litwą, Ukrainą, jako pierwsi, nie czekając aż Polska wejdzie do Unii Europejskiej, już w 1992 roku nawiązaliśmy dialog z Niemcami. Również jako pierwsi z tzw. bloku wschodniego zostaliśmy przyjęci do prestiżowego Club of Europe z siedzibą w Hanowerze i w Kolonii, zrzeszającego małych i średnich przedsiębiorców ale też ludzi nauki, kultury. Jest to forum klasy średniej Europy Zachodniej, klub o silnych tradycjach, założony jeszcze przez Konrada Adenauera, wspierany autorytetem wielu

przywódców Europy. Niemal równocześnie nawiązaliśmy kontakty z powstającym wtedy zrzeszeniem pracodawców moskiewskich, podpisaliśmy porozumienie ze związkiem pracodawców Ukrainy i takie były początki biznesowej współpracy na osi Wschód – Zachód.

Bez wymiany gospodarczej nie ma rozwoju. Stale przywołuję wskazania, redaktora Jerzego Giedroycia: pamiętajcie o Wschodzie, nie ma Europy bez współpracy gospodarczej ze Wschodem, z Litwą, z Ukrainą, z Białorusią, z Rosją.

Jestem bardzo szczęśliwy. Nie zarobiłem bardzo wielkich pieniędzy, nie figuruję w setce najbogatszych Polaków, zawsze powtarzam, że nie będę jeździł w dwóch samochodach naraz, w dwóch domach nie jestem w stanie mieszkać. Ale mogę sobie pozwolić na uprawianie sportów, na uprawianie turystyki, mam środki na wykształcenie dzieci, wnuków, z których jestem dumny jak chyba nikt. Jestem spełniony, bo przekazuję pałeczkę, mój syn jest razem ze mną, pomaga i jednocześnie realizuje swoje pasje zawodowe. Zawsze staraliśmy się być razem, wszyscy w zgodzie ze sobą, pracować uczciwie, spać spokojnie, stawać przed innymi z podniesionym czołem. Mogę pójść do każdego urzędu, jestem życzliwie, miło przyjmowany, z wielką sympatią. I to jest chyba największa moja radość i satysfakcja. Kiedy zwracam się do przedsiębiorców, także tych z pierwszych stron gazet, zawsze spotykam się z uwagą, zainteresowaniem, otrzymuję wsparcie dla nowych projektów. Bo wszyscy wiedzą, że środki, jakie przekażą do Klubu Polskiego Biznesu, nie zostaną zmarnowane. I będą pożyteczne dla całego środowiska.

Przeżyłem szmat czasu – od powojennego harcerstwa badenpowellońskiego do nowej Polski. Mogłem udzielać się w życiu sportowym, kulturalnym, uczestniczyć w transformacji ustrojowej kraju, obserwować wszystko i wszystkich, o których się dzisiaj mówi w telewizji i w historii, inspirować ich, przyjaźnić się z nimi. W życiu nie śniło mi się, że przejdziemy taki szmat drogi, przeżyjemy taką przemianę. Tak naprawdę – nie do uwierzenia!

Dziękuję wszystkim za wspólne ćwierć wieku w Polskim Klubie Biznesu.

**Ryszard Konwerski w rozmowie z Krystyną Gucewicz
z okazji 25-lecia Polskiego Klubu Biznesu**